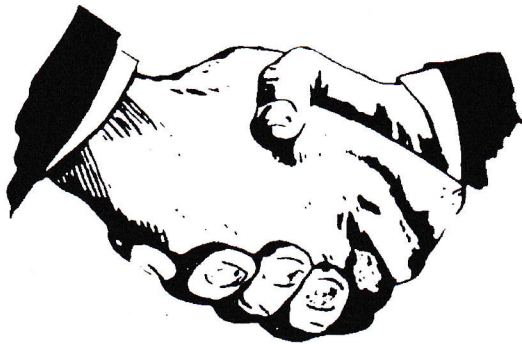
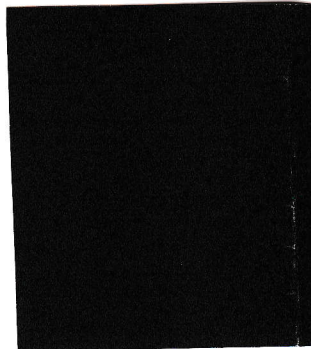


Norbert Wójtowicz

*„ISTOTA LUDZKA
O
KRYSZTAŁOWYM SERCU”*



Wrocław, 1-3 maja 2000



„ISTOTA LUDZKA O KRYSTAŁOWYM SERCU”

Żaden promień światła nie jest daremny, lecz trzeba czasu, aby pod jego wpływem zakiełkowało ziarno. Nie zawsze siewca może widzieć plony. Każde wartościowe dzieło jest owocem wiary.

Albert Schweizer

„Wyglądał niepozornie i przyjemnie. Pociągła twarz o drobnych regularnych rysach, wysokie czoło, łagodne oczy w skupionym spojrzeniu, płowa bródka i różowa łysinka (ze wszystkich reprodukowanych zdjęć najwierniejszym wydaje mi się amatorskie zdjęcie Edwarda Poznańskiego). Dłonie miał muskularne, suche i ciepłe, dzieci mówiły, że ma dobre ręce. Lubili, gdy rozmawiając musnął policzek albo położył dłoń na głowie; maluchy uspokajały się, kiedy rozcierał miejsce, w które się uderzyły, i zamawiał, czarował: «Dziemdzieremdzie, dziemdzieremdzie, nic nie było, nic nie będzie»” – wspominał Igor Newerly. Jego sposób podejścia do wychowanków i te właśnie dłonie robiły niesamowite wrażenie. Israel Zyngman (Stasiek) pisał o swoim pierwszym spotkaniu z nim: „Rozmawiał z matką, a mnie głaskał po głowie. [...] Tak mi się jakoś błogo zrobiło i pomyślałem sobie: «Czy mnie już ktoś kiedykolwiek gładką jak aksamit ręką głaskał po świeżo ostrzyżonej głowie. Chyba tak – ojciec, matka, a może jeszcze ktoś. Nie pamiętam, oni jednak dłonie mieli spracowane, twarde i dlatego uczucie, jakiego przy tym doznawałem, było zupełnie inne i nie bardzo się utrwaliło w pamięci»”. Podobnie wspominali to również inni podopieczni Starego Doktora. Zawsze postrzegany był w towarzystwie dzieci a zwłaszcza „zamęczających go” bezlitośnie maluchów. „Kiedyś byłam świadkiem takiego obrazka – pisała Łucja Gold – w sali na krześle siedzi Korczak. Na kolanach trzyma malca. Kilkoro dzieci obok. Jedno klepie doktora po łysinie, inne wygładza kołnierz u marynarki, a dziecko siedzące na kolanach koniecznie chce otworzyć Korczakowi usta, aby policzyć jego zęby”. Nie był to obrazek wyjątkowy. Odbywająca praktykę na koloniach letnich w Gocławku Hinda Levi-Lisner wspominała: „Chajka i Miriam włożyły Doktorowi na kolana, a inny dzieciak – niesforny i podrapany – ciągnął go za nogi i założył je sobie na plecy. Maryla chwyciła jedną jego rękę, Ludwik – drugą. Doktor już znowu nie należał do siebie. Każde z dzieci przywłaszczyło sobie swoją część Doktora”.

Kiedy trzy lata temu ukazała się książka Andrzeja Nowickiego „Filozofia masonerii u progu siódmego tysiąclecia” w wywiadzie z autorem zwróciłem uwagę na znaczący moim zdaniem mankament jakim było pominięcie w niej

„ISTOTA LUDZKA O KRYSTAŁOWYM SERCU”

Żaden promień światła nie jest daremny, lecz trzeba czasu, aby pod jego wpływem zakiełkowało ziarno. Nie zawsze siewca może widzieć plony. Każde wartościowe dzieło jest owocem wiary.

Albert Schweizer

„Wyglądał niepozornie i przyjemnie. Pociągła twarz o drobnych regularnych rysach, wysokie czoło, łagodne oczy w skupionym spojrzeniu, płowa bródka i różowa łysinka (ze wszystkich reprodukowanych zdjęć najwierniejszym wydaje mi się amatorskie zdjęcie Edwarda Poznańskiego). Dłonie miał muskularne, suche i ciepłe, dzieci mówiły, że ma dobre ręce. Lubiły, gdy rozmawiając musnął policzek albo położył dłoń na głowie; maluchy uspokajały się, kiedy rozcierał miejsce, w które się uderzyły, i zamawiał, czarował: «Dziemdzieremdzie, dziemdzieremdzie, nic nie było, nic nie będzie»” – wspominał Igor Newerly. Jego sposób podejścia do wychowanków i te właśnie dłonie robiły niesamowite wrażenie. Israel Zygman (Stasiek) pisał o swoim pierwszym spotkaniu z nim: „Rozmawiał z matką, a mnie głaskał po głowie. [...] Tak mi się jakoś błogo zrobiło i pomyślałem sobie: «Czy mnie już ktoś kiedykolwiek gładką jak aksamit ręką głaskał po świeżo ostrzyżonej głowie. Chyba tak – ojciec, matka, a może jeszcze ktoś. Nie pamiętam, oni jednak dłonie mieli spracowane, twarde i dlatego uczucie, jakiego przy tym doznawałem, było zupełnie inne i nie bardzo się utrwaliło w pamięci». Podobnie wspominali to również inni podopieczni Starego Doktora. Zawsze postrzegany był w towarzystwie dzieci a zwłaszcza „zameczających go” bezlitośnie maluchów. „Kiedyś byłam świadkiem takiego obrazka – pisała Łucja Gold – w sali na krześle siedzi Korczak. Na kolanach trzyma malca. Kilkoro dzieci obok. Jedno klepie doktora po łysinie, inne wygładza kołnierz u marynarki, a dziecko siedzące na kolanach koniecznie chce otworzyć Korczakowi usta, aby policzyć jego zęby”. Nie był to obrazek wyjątkowy. Odbywająca praktykę na koloniach letnich w Gocławku Hinda Levi-Lisner wspominała: „Chajka i Miriam włożyły Doktorowi na kolana, a inny dzieciak – niesforny i podrapany – ciągnął go za nogi i założył je sobie na plecy. Maryla chwyciła jedną jego rękę, Ludwik – drugą. Doktor już znowu nie należał do siebie. Każde z dzieci przywłaszczyło sobie swoją część Doktora”.

Kiedy trzy lata temu ukazała się książka Andrzeja Nowickiego „Filozofia masonerii u progu siódmego tysiąclecia” w wywiadzie z autorem zwróciłem uwagę na znaczący moim zdaniem mankament jakim było pominięcie w niej

członka „Le Droit Humain”, wybitnego pedagoga Janusza Korczaka. Usłyszałem w odpowiedzi: „Oczywiście, zgadzam się, że brak rozdziału poświęconego Korczakowi jest poważnym mankamentem tej książki. Ale takich mankamentów jest w tej książce kilkaset. Znacznie lepiej czułbym się jako historyk, gdybym mógł przedstawić nie czterdzieści, ale czterysta sylwetek wolnomularzy, którzy – moim zdaniem – zasługują na to, żeby poznać ich wkład do filozofii i innych dziedzin kultury”. Andrzej Nowicki nie miał możliwości przedstawienie czterystu sylwetek, musiał więc dokonać wyboru. Czy jednak wybór ten był najlepszym z możliwych? Być może w książce tej istotnie pominięto kilkuset innych wolnomularzy ale nie sądzę by braki te w każdym przypadku były jednakowo wyraziste. Profesor Nowicki w swoich pracach wskazywał, iż „łoże masońskie stają się ośrodkami potężnego promieniowania wychowawczego”. W tej sytuacji brak tego, który niemalże w każdej chwili swego życia starał się być wychowawcą zdaje się być brakiem szczególnie dotkliwym.

Kim był człowiek znany powszechnie jako Janusz Korczak? Henryk Goldszmit urodził się 22 lipca 1878 roku w Warszawie i mimo żydowskich korzeni od samego początku wychowywał się kręgu polskiej kultury i w kręgu polskich obyczajów. Halina Mortkowicz-Olczakowa podkreślała, że był on wychowany „w duchu liberalnych idei i pozytywistycznych haseł pracy społecznej”. Początkowy dostatek został ucięty w sposób radykalny z chwilą bankructwa, choroby umysłowej a następnie śmierci ojca. Zarabiając korepetycjami ukończył Wydział Lekarski na Uniwersytecie Warszawskim, a następnie odbył uzupełniające studia specjalizacyjne w Berlinie, Paryżu i Londynie. Po powrocie do kraju rozpoczął pracę lekarza dziecięcego. Poza pracą zawodową, będąc pod silnym wpływem postępowych społeczników, działał na terenie Czytelni Bezpłatnych, Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności i Towarzystwa Kolonii Letnich. W 1907 roku związał się z nowopowstałym stowarzyszeniem Pomoc dla Sierot zajmującym się opieką nad dziećmi proletariatu żydowskiego. W późniejszym okresie wspólnie z Marią Falską utworzył sierociniec Nasz Dom dla polskich dzieci robotniczych. Z Domem Sierot na ulicy Krochmalnej złączył swe życie aż do samej śmierci. Aż do samej śmierci związał swoje życie z dziećmi. Aż do samej śmierci – swojej i swoich wychowanków. Śmierci, której mógł uniknąć lecz którą przyjął w imię głoszonych ideałów i w imię wolności. Poprzez swoją ostatnią decyzję w życiu chciał zaświadczyć, że przemoc nie może człowieka zniewolić i prawdziwie pozbawić wolności. Bohater jednej z jego książek, przebywający w więzieniu Król Maciuś I mówił: „dopóki mnie więżą przemocą – jestem wolny, mogę robić co chcę, wolno mi się bronić”.

Andrzej Nowicki mówiąc o tych, którzy współtworzyli to co można określić mianem „filozofii masonerii” pominął Janusza Korczaka, ale też

prawdę mówiąc nie wiemy zbyt wiele o jego działalności w loży. Władysław Bocheński wymienia go wśród przedwojennych członków Zakonu Wszechświatowego Zjednoczonego Wolnomularstwa „Le Droit Humain”. Pisząc o działających w okresie międzywojennym lożach obrządku mieszanego Ludwik Hass idąc za relacjami „braci” wskazywał m.in.: „łoża «Św. Graala» skupiała osoby o zainteresowaniach społecznych” i „do loży «Radosna Przyszłość» wstępowali przeważnie ludzie interesujący się problematyką wychowawczą, często byli to pracownicy szkolnictwa i innych instytucji pedagogicznych. Z kolei łoża «Gwiazda Morza» koncentrowała się na ezoteryce, medytacjach i kontemplacji”. Znając życie Janusza Korczaka postrzegamy, że przy takim podziale wybór „Gwiazdy Morza” nie był chyba wyborem najtrafniejszym. Nie kojarzy on się nam bowiem z ezoteryką czy medytacją, ale właśnie z działalnością społeczną, szkolnictwem i pracą pedagogiczną.

W rozmaitych publikacjach o charakterze encyklopedycznym Korczak określany jest zazwyczaj mianem lekarza, pisarza, pedagoga i filantropa. Jest on określany mianem filantropa, a więc niezwykle zaszczytną nazwą człowieka „służącego dobrem powszechnemu”. Jest on określany mianem pisarza bo przecież nie sposób zliczyć wszystkich tekstów, które opublikował – poczynając drukowanych w „Kolcach” humoresek poświęconych problematyce społecznej, poprzez szereg książek dla dzieci, aż po stanowiące dziś klasyczny kanon prace pedagogiczne. Tak więc również nieprzeciętny pedagog umiejący przetransponować teorię na codzienność i obok tego lekarz. Ale poza tym wszystkim Janusz Korczak był bez wątpienia filozofem. Może nie w znaczeniu zapamiętywanej przez rzeszę studentów klasycznej arystotelesowsko-tomistycznej definicji filozofii, ale był filozofem poprzez fakt „filozofowania czynami”. Andrzej Nowicki podkreślał, że „oprócz filozofii wyłożonej explicite w rozprawach filozoficznych, istnieje także filozofia w postaci niezwerbalizowanej, ukryta w praktyce i w jej wytworach”. To właśnie ten rodzaj filozofii przewija się przez całe życie doktora Henryka Goldszmita. Ponieważ zaś „do uprawiania historii filozofii niezbędna jest umiejętność wydobywania filozofii nie tylko z wypowiedzi, ale także z czynów i z dzieł ludzkich” warto bliżej przyjrzeć się jego życiu.

Wyznając zasadę „pokaż mi co czytasz, a powiem ci kim jesteś” niejednokrotnie staram się zajrzeć do księgozbioru nowo poznanych osób. Również w przypadku tych którymi zajmuję się jako historyk czasem nie mogę oprzeć się tej pokusie. Odwołując się do lektur danej osoby łatwiej jest poznać tych którzy gdzieś tam formowali naszego bohatera. Odwołując się do lektur konkretnego człowieka łatwiej jest poznać jego „nauczycieli”, nawet jeśli nie bezpośrednich to z pewnością w jakiś sposób funkcjonujących w jego świadomości. Łatwiej jest wtedy dostrzec tych którzy gdzieś tam wgryźli się i

teraz stanowią jeden z elementów wypełniających jego „przestrzeń dajmoniona”.

Janusz Korczak miał zwyczaj codziennego czytania przed snem gdyż jak mawiał „jeżeli któregoś dnia trochę nie poczytam to czuję się brudny, jakbym się nie mył...” Informacje o jego księgozbiorze przekazał nam jego sekretarz pisząc: „Czytał dużo i z różnych dziedzin, ale biblioteczkę miał niedużą, zaledwie parę regałów przy jednej ścianie. Tylko to, co wytrzymało próbę czasu, rzeczy przeżywane, znaczące w jego życiu”. Jak więc widzimy dokonywał on analizy literatury odrzucając wszystko to co mniej istotne. Cóż więc znalazło się wśród literatury uznanej przez Korczaka za naprawdę wartościową? „A więc – mówił dalej Igor Newerly – Nałkowski, Straszewicz, Dawid Dygasiński, Prus, Asnyk, Konopnicka, o których w «Ofercie» powiedział «mistrzowie moi w pracy społecznej». I Maeterlinck, i Ruskin, którym zawdzięczał wtajemniczenie w świat owadów, roślin i minerałów. Dalej Czechow («genialny diagnosta i klinicysta społeczny»), Anatol France, Marcel Proust, Fabre, Pestalozzi, Le Bon, Krzywicki, Marek Aureliusz... Dziwnie różnorodne towarzystwo, ale każdy z nich coś mu dał – długo potem musiałem dochodzić, co mianowicie... Stało tam jeszcze sporo medycyny i pedagogiki, ale tego nie brałem do czytania. Jakaś monografia o systemie wychowawczym jezuitów, pamiętam uwagę Korczaka: «Nie lekceważmy jezuitów, oni dwieście lat temu wiedzieli coś z tego, co teraz odkrywamy...» Podręcznik tresury zwierząt pamiętam w związku z rozmową, że tresowanie zwierząt i człowieka odbywa się w zasadzie według tych samych reguł. I pewne podkreślone przez Korczaka zdanie w pamiętniku sławnego pogromcy zwierząt. I były tomy Komisji Edukacji Narodowej, do których nie zająrzałem. Nie interesowały mnie wówczas. A szkoda, może byłbym przed Aleksandrem Kamińskim dostrzegł zbieżność fundamentalnej koncepcji systemu Korczaka z pionierskimi poczynaniami Komisji w dziedzinie sądu koleżeńskiego młodzieży szkolnej”.

Ten kojarzony niemal wyłącznie z działalnością pedagogiczną człowiek miał więc niezwykle bogate zainteresowania. Znajdziemy tu działaczy społecznych, znajdziemy naukę o owadach, roślinach i minerałach, znajdziemy filozofów i jezuitów. Janusz Korczak potrafił czerpać z wielu źródeł spajając to co wartościowe i tworząc jeden wspólny system. Co robił? W jednym z listów pisał o swojej pracy: „Oprzeć organizację dzieci na wzajemnej sympatii i sprawiedliwości. Oddalić zawczasu od złego wpływu spraw dorosłych. Dać im lata spokojne, łagodne, do rozwoju i dojrzewania. Nie uciskać, nie gnębić, nie obarczać, nie zaniedbywać, nie krzywdzić”.

Stary Doktor związał swoje życie z dziećmi, lecz kimże jest dziecko? Dziś ma ono swoje miejsce w społeczeństwie lecz w czasach Korczaka odpowiedź na to pytanie brzmiałaby zupełnie inaczej. Kim jest dziecko? – prawie że

„nikim”. Niejednokrotnie to niemalże mebel przestawiany z kąta w kąt. W przeciwieństwie do cieszących się pełnią praw mężczyzn i kobiet które za przykładem sufrażystek coraz liczniej starają się podnieść swoje znaczenie w społeczeństwie dzieci praktycznie jakby nie istniały. A przecież, jak podkreślał w „Wiośnie i dziecku” Janusz Korczak tym właśnie „dzieciom należy się trzecia część bogactw ziemi – i to prawnie, a nie z łaski”. Postawił on sobie za cel doprowadzić do zrównania wobec prawa tego pokrzywdzonego „małego człowieka” z ludźmi dorosłymi. Wielokrotnie powtarzał więc w swoich pracach, że „dziecko jest równo nam wartościowym człowiekiem”. Od samego początku zdawał on sobie sprawę, że „droga, którą wybrałem dążąc do celu nie jest ani najkrótsza ani najdogodniejsza, jest jednak najlepsza dla mnie – bo moja – bo własna”. Janusz Korczak na tej właśnie płaszczyźnie postrzegał swoją rolę we wcielaniu w życie zasad sprawiedliwości społecznej i równości wszystkich ludzi. Tak, wszystkich ludzi, bo nie można mówić o człowieku nie zauważając dziecka i mówić o dziecku nie zauważając w nim człowieka. „To jeden z najzłośliwszych błędów sądzić, że pedagogika jest nauką o dziecku, a nie o człowieku” – podkreślał z naciskiem.

Niedawno zetknąłem się z hasłem-mottem jednej ze szkół działających obecnie we Wrocławiu: „Powiedz – zapomnę; Pokaż jak – zapamiętam; Zaangażuj mnie – zrozumiem”. To zawołanie ma wyrażać przyjacielskie relacje i pełną współpracę między studentami a nauczycielami. I chyba podobna myśl przyświecała Korczakowi i podobnym celom miał służyć złożony z samych wychowanków sąd. W rozważaniach nad zaprowadzonym przez niego sądem uczniowskim Aleksander Kamiński zauważa, iż nie były to koncepcje nowe. „Czy Korczak był świadom – pytał – historycznych korzeni swej metody samorządowej? Trudno powiedzieć, czy znał wszystkie pędy tych korzeni, lecz na pewno znał dobrze i bardzo cenił dzieło Komisji Edukacji Narodowej. Zaś tekst Trentowskiego [Chowanna, czyli system pedagogiki narodowej] posiada tyle paraleli z praktyką Korczaka, iż wydaje się, że tego autora Korczak także znał i czerpał z niego”. Z jednej strony widzimy powstałą w 1773 roku w wyniku kasaty zakonu jezuitów Komisję Edukacji Narodowej z prymasem Michałem Poniatowskim, zaś z drugiej jednego z reformatorów wolnomularstwa i autora pracy „Die Freimaurerei in ihrem Wesen und Unwesen” – Bronisława Ferdynanda Trentowskiego. Dość ciekawe i pobudzające do zastanowienia jest to zestawienie źródeł.

Ale wracając do samej koncepcji Janusza Korczaka. Powołany przez niego do istnienia sąd zbierał się raz na tydzień. Skład sędziowski tworzyli wychowankowie wybierani losowo spośród tych którzy w danym tygodniu nie mieli ani jednej sprawy. Przed sądem stanąć mógł każdy. Jeden z wychowanków Domu Sierot wspominał: „Nasz sąd miał prawo sądzić nie tylko nas, ale i dorosłych, nawet ludzi z zewnątrz, chociażby nauczycieli ze

szkoły, do której chodziliśmy. Opowiedziano mi, że raz jeden nauczyciel rzucił w dziecko z Domu Sierot kałamarz z atramentem. Ono podało skargę do sądu i tego nauczyciela usunięto ze szkoły. To Korczak spowodował". Przed sądem mógł stanąć każdy i każdy musiał się liczyć z jego wyrokiem. Przed sądem stawali w równym stopniu wychowankowie i wychowawcy. Również Korczak był tam stosunkowo częstym bywalcem lecz w większości przypadków on sam składał na siebie skargę. „W ciągu półrocza – pisał w „Jak kochać dziecko” – podałem się do sądu pięć razy. Raz, że chłopcu dałem za uszy, raz, że chłopca wyrzuciłem z sypialni, raz, że postawiłem w kącie, raz, że obraziłem sędziego, raz, że dziewczynkę posądziłem o kradzież. W pierwszych trzech sprawach otrzymałem § 21, w czwartej sprawie § 71, w ostatniej sprawie § 7. Za każdym razem składałem obszernie zeznanie pisemne". Czemu to robił? Korczak starał się nauczać poprzez przykład bo to co powiedziane prędko ulatuje z naszej pamięci, zaś obserwując „jak” zapamiętamy znacznie więcej. Jest to tym bardziej widoczne w przypadku dzieci toteż tu właśnie starał się szczególnie naciskać na „pokazywanie jak”. Stary Doktor wielokrotnie z własnej woli stawał przed obliczem małych sędziów zdając się na ich poczucie sprawiedliwości. „Twierdzę z całą stanowczością – podkreślał dalej – że tych kilka spraw było kamieniem węgielnym mego wychowania jako «konstytucyjnego» wychowawcy, który nie dlatego nie krzywdzi dzieci, że je lubi czy kocha, ale dlatego, że istnieje instytucja, która je przed bezprawiem, samowolą, despotyzmem wychowawcy broni". Dzieci również rozumiały znaczenie tego typu instytucji. Nic więc dziwnego, że Samuel Gogol wspominał po latach: „dla nas sąd był czymś potężnym i bardzo ważnym. Stał się naszą obroną dlatego wzajemne zadrażnienia i ostre konflikty zdarzały się bardzo rzadko”.

Janusz Korczak wspominał: „będąc ekspertem sądowym dla nieletnich, ilekroć badałem dziecko skłócone z kodeksem karnym, tylekroć stwierdzałem, że to dziecko nie miało normalnego dzieciństwa, że ono nie bawiło się i nie wyżywało w koniecznych dla jego rozwoju formach". Tak więc w istocie – podkreślał – to nie dziecko jest głównym winnym swego złego postępowania. Dziecko wielu rzeczy nie rozumie, a równocześnie niezwykle łatwo przejmuje narzucane wzorce. W dużej mierze winne jest więc środowisko - grzech dziecka niemal z reguły wiąże się z grzechem społecznym. „Człowiek nie rodzi się zbrodniarzem ani aniołem. – pisał i dalej zauważał, że to – Wychowanie czyni z niego istotę brudną lub promienną". Warto tu z naciskiem podkreślić słowo „wychowanie”, „wychowanie” a nie „karanie”. „Jestem bezwzględny, nieubłagany przeciwnikiem kary cielesnej. Baty, dla dorosłych nawet, będą tylko narkotykiem, nigdy – środkiem wychowawczym. Kto uderza dziecko, jest oprawcą. Nigdy bez uprzedzenia i tylko w obronie koniecznej – raz! – w rękę raz, bez gniewu (jeśli w żaden sposób nie można

inaczej)” – pisał bynajmniej nie żartobliwie w „Pedagogice żartobliwej”. Doktor Korczak krytycznie odnosił się do skuteczności reedukacji w zakładach poprawczych, gdyż jak podkreślał w „Prawie dziecka do szacunku”: „Dla wykroczeń i uchybień wystarczy cierpliwa, życzliwa wyrozumiałość; występnym potrzebna jest miłość”. Czesław Hakke wspominał, że szukając właściwych metod wychowawczych potrafił on doceniać znaczenie kultury dla rozwoju człowieka: „Któregoś dnia wchodzimy do pokoju muzycznego, gdzie dziewczęta grały na skrzypcach. Doktor słuchał przez dłuższą chwilę w milczeniu, a potem jakby do siebie powiedział: «gdyby wszyscy ludzie zrozumieli muzykę, toby nie było więzień». Po wyjściu z pokoju rozmawialiśmy dłuższą chwilę o roli muzyki w wychowaniu”.

Nauczyciel – pisał – nie powinien zrażać się zbyt łatwo ani zbyt łatwo odpychać od siebie dzieci „trudne”. Wszak to właśnie one, te „wyjątkowe” dzieci dają nam najobfitszy materiał do rozmyślań i dociekań, uczą nas ulepszać i poszukiwać”. Nie obawiał się trudności i nie uciekał przed nimi. Podkreślał wielokrotnie potrzebę cierpliwości i wyrozumiałości, bo przecież „każdy kto chce grać na skrzypcach, musi cierpliwie ćwiczyć mięśnie, ścięgna, stawy ręki. Nie dość znać nuty. Jak często twarda łapa wychowawcy sięga naiwnie po zaszczyt na lotnym duchu dziecka”. Sam rozumiejąc ten problem nie starał się przebudowywać istniejących już instrumentów lecz brał je w ręce i delikatnie wydobywał z nich tony. „Mogę stworzyć tradycję prawdy, ładu, pracowitości, uczciwości, szczerości – pisał w „Jak kochać dziecko” – ale nie przerobię żadnego z dzieci na inne niż jest. Brzoza pozostanie brzozą, dąb dębem, łoś łosiem. Mogę budzić co drzemie w duszy, nie mogę nic stworzyć”.

Był wrogiem panoszącej się „kasty autorytetów” i walcząc z teoretykami mówił: „Wywołam uśmiech pobłażliwy lub grymas niesmaku, gdy powiem, że równie dostojna byłaby dwutomowa książka o praniu i praczkach, jak o psychoanalizie, że więcej inteligencji i inicjatywy wymagają kuchnia i rosół niż pracownia bakteriologiczna i mikroskop. I powierzyłbym właśnie niemowlę chętniej opiece uczciwej niani niż Szarlocie Bühler”. Korczak walczył z teoretykami, którzy zastanawiając się nad przekonstruowywaniem człowieka i społeczeństwa nigdy nie wyszli spoza swego biurka. Sam napisał wiele prac teoretycznych z zakresu pedagogiki lecz równocześnie nie był on czystym teoretykiem. Potrafił przekładać przekazywaną wiedzę na praktykę i do tego też nawoływał innych. Podkreślał, że nie można dobrze mówić o czymś czego się samemu nie rozumie bo się nie doświadczyło. „Zanim więc każe się dziecku wyszorować lub wyfroterować podłogę, trzeba wielokrotnie zrobić samemu i patrzeć jak to robią dzieci, i uważnie wysłuchać co powiedzą” – pisał w „Wychowawcy ambitnym”.

Jeżeli czegoś nauczał to dlatego, że sam tego doświadczał. Gdy mówił o stosunku do dziecka to nie operował ogólnikami lecz mówił o swoim osobistym stosunku do niego. Podobnie, zawsze gdy mówił o stosunku do drugiego człowieka to mówił o swoim stosunku. W spisywanym przez siebie pamiętniku Stary Doktor zanotował m.in. „Jestem nie po to aby mnie kochali i podziwiali, ale po to, abym ja działał i kochał. Nie obowiązkiem otoczenia pomagać mnie, ale ja mam obowiązek troszczenia się o świat i o człowieka”. Nie były to zdania pisane wyłącznie na pokaz o czym najlepiej świadczy epizod opisany przez Karolinę Beylin: „W dniu kiedy Niemcy zmusili miasto do kapitulacji, gdy na ulicach pokrytych gruzem i szkłem ludzie chodzili jak błądźni, środkiem ulicy Mazowieckiej szedł Korczak, niosący na ręku małego chłopczyka. – Co pan tu robi, panie Doktorze? – Szukam sklepu z obuwem. – Ale wszystkie są zrujnowane lub zamknięte. Po cóż panu szewc? – Muszę kupić dziecku buty, nie może chodzić boso po szkło. – Co to za dziecko? Spojrzał zdziwiony – Nie wiem. Dziecko. Spotkałem je na ulicy. Muszę nieść na ręku, dopóki nie dostanę butów. I odszedł dźwigając swój ciężar”. Tragiczna sytuacja, kapitulacja i okrutnie zniszczone miasto, ludzie błąkający się bez celu a on dźwiga na ramionach zupełnie obce dziecko. Cóż to za dziecko? Jest wyraźnie zdziwiony tak postawionym pytaniem, bo przecież jakąż to różnica. Nie potrafi na nie odpowiedzieć, nie wie... to po prostu człowiek który potrzebował pomocy. „Mam obowiązek troszczenia się o świat i o człowieka” podkreślał i obowiązek ten starał się wypełniać niezależnie od okoliczności. Nic więc dziwnego, że opublikowany w numerze 7 nowojorskiego dwumiesięcznika „Jewish Affairs” z 1978 roku artykuł poświęcony Korczakowi zatytułowano: „Istota ludzka o kryształowym sercu”. Człowiek o sercu czystym i nieskazitelnym, jak czysty i nieskazitelny może być tylko kryształ. Człowiek taki sam jak inni a przecież bez wątplenia różniący się od większości. Podobnie jest z kryształem. Chemik powie, że nie ma czym się zachwycać, że to tylko jedna z postaci kwarcu, w zasadzie – szkło. W istocie, to szkło jakich wiele – zwykły kwarc i garść dodatków. Wiemy o tym dobrze lecz gdy przyglądamy się rozczepiającym światło fantazyjnym kryształom jakże trudno czasem jest nam w to uwierzyć.

Janusz Korczak uważał, że „dziecko spełni główną rolę w duchowym odrodzeniu człowieka”. Podkreślał w swoich pismach z naciskiem, iż tak naprawdę jedyna różnica między dzieckiem a dorosłym tkwi w sferze uczuć. Zaznaczał, że wbrew temu co sobie niekiedy wyobrażamy nasza „dojrzałość” nie zawsze działa na naszą korzyść, gdyż miast odczuwać zaczynamy kalkulować. Tymczasem – pisał – trzeba umieć „dziecinnie cieszyć się i smuć, kochać i gniewać, obrażać i wstydzić, obawiać się i ufać”. Wartość uczucia jest ogromna bo tylko przeżywając człowiek jest w stanie naprawdę żyć pełnią życia. Tylko wtedy możemy być twórczy, wносить nowe wartości i

współtworzyć świat w którym żyjemy. „Poeta jest człowiek, który bardzo się weseli i bardzo się martwi, łatwo się gniewa i mocno kocha – który silnie czuje, wzrusza się i współczuje. I takie są dzieci. A filozofem jest człowiek, który się bardzo zastanawia i chce koniecznie wiedzieć, jak wszystko jest naprawdę. I znów takie są dzieci” – zauważał w „Prawidłach życia”. Chciałoby się wręcz powiedzieć: „jeżeli nie będziecie jako dzieci...” Mówiąc o tym niepowtarzalnym pedagogu Roman Bertisch wspominał, że „Korczak myślał kategoriami dziecka. Nie było to jednak znizanie się do dziecięcego poziomu, ale całkowite wnikanie w mentalność dzieci”.

Jego stosunek do dziecka, czy też może raczej należałoby powiedzieć stosunek do człowieka, to ogromne serce lecz bynajmniej nie altruizm z pogranicza masochizmu. Wspominając Janusza Korczaka Ida Merżan zanotowała jak to stwierdził on kiedyś: „Kłamie ten, kto mówi, że się dla czegoś lub dla kogoś poświęca. Jeden lubi karty, inny kobiety, jeden nie opuszcza wyścigów konnych, a ja Kocham dzieci. Nie poświęcam się wcale, robię to nie dla nich, lecz dla siebie. Mnie to jest potrzebne. Nie wiercie, panie, słowom o poświęceniu. Są kłamliwe i obłudne”. Janusz Korczak mówił więc o sobie, że jest egoistą lecz jakże piękne skutki przynosił ten egoizm. Przez fakt takiego a nie innego ukierunkowania swych pożądań był on egoistą w najpiękniejszym tego słowa znaczeniu.

Nauczając młodych pedagogów mówił – „nie poświęcam się wcale”. Na ile jednak było to prawdziwe? 30 marca 1937 roku w liście do swego ucznia i przyjaciela Zylbertala pozwolił sobie na garść bardzo osobistych refleksji w tej sprawie. „Przypominam sobie chwilę – pisał – kiedy postanowiłem nie zakładać własnego domu. Było to w parku koło Londynu. Niewolnik nie ma prawa mieć dzieci. Żyd polski pod zaborem carskim. I zaraz odczułem to jak zabicie samego siebie. Z siłą i z mocą poprowadziłem moje życie, które na pozór było nieuporządkowane – samotne i obce. Za syna obrałem ideę służenia dziecku i jego sprawie. Na pozór straciłem”. Tak..., Korczak nie kończy tych przemyśleń stwierdzeniem „straciłem”, lecz pisze „na pozór straciłem”. Cóż to znaczy? Wybierając takie, a nie inne życie nigdy nie założył rodziny, lecz czy jej nie miał? Franciszek Ciszewski pisał: „Do Starego Doktora przybywały dzieci pokrzywdzone, opuszczone, biedne. On stworzył im własny, piękny i wymarzony świat, upragnione dzieciństwo. Mogło zabraknąć chleba – ale nigdy serca. Korczak nie miał czasu dla siebie, nie założył rodziny, bo przecież miał już dużo dzieci – wielką rodzinę. To dzieci, którym często własna matka była macochą. Dla nich gotów był do wszelkich, największych nawet poświęceń...”

W opublikowanym w 100 rocznicę urodzin Henryka Goldszmita na łamach „Jewish Currents” artykule Henry Bloch nie wahał się zauważyć: „Gdyby dr Korczak był katolikiem, a jego dom sierot instytucją katolicką, nie ma

wątpliwości i jest dostatecznie uzasadnione wyniesienie go do godności «świętego». Ha..., tymczasem Janusz Korczak bez wątpienia katolikiem nie był. I nie tylko katolikiem... Był bez wątpienia wspaniałym człowiekiem lecz gdy mówimy o judeo-chrześcijańskim kręgu religijnym to musimy zwrócić uwagę na jego dwa zasadnicze filary. Nie da się bowiem ukryć, że w przypadku religii obok stosunku do drugiego człowieka konieczny jest również pozytywny stosunek do Absolutu. Jak wyglądała religijność Janusza Korczaka? Dość szeroko rozwodził się na ten temat jeden z bursistów w Domu Sierot Józef Arnon (Halpern), który podsumowując swoje rozważania podkreślał „Myli się każdy, kto twierdzi dzisiaj, że Korczak był religijny, a zwłaszcza myli się ten kto ujmuje religię w jej postaci instytucjonalnej. Ale jeśli ktoś powie, że Korczak był człowiekiem, który z wielkim zrozumieniem odnosił się do wierzących, niezależnie od ich wyznania, zbliży się do prawdy”.

Czy tego stosunku do religii nie należałoby wiązać z przynależnością Staroego Doktora do masonerii? Wspomnieliśmy wszak na wstępie, że Korczak był członkiem Zakonu Wszechświatowego Zjednoczonego Wolnomularstwa „Le Droit Humain”. Cóż to za grupa? Polski odłam tego Zakonu z uwagi na dość znaczne przenikanie się pod względem personalnym z Polskim Towarzystwem Teozoficznym często był z nim mylony. Podobnie bywało za granicą. Związki te są bardzo wyraźne już od początków istnienia w wolnomularstwie tego nurtu. W odniesieniu do samej teozofii Ludwik Hass używa określenia „mistyczne i okultystyczne skrzydło wolnomularstwa w szerokim tego słowa znaczeniu”. Założycielka Towarzystwa Teozoficznego podkreślała, że teozofowie nie trzymają się żadnej religii lecz każdy może wyznawać tą religię, którą uzna za właściwą lub też w ogóle nie wyznawać żadnej religii. Stawiało ono sobie za cel przekazywanie uczniom prawd moralnych wśród których rolę pierwszoplanową odgrywała idea powszechnego braterstwa bez względu na rasę, na kolor skóry czy też na wyznanie. Zasady propagowane w systemie teozoficznym miały stanowić esencję wszelkich religii, a więc tworzyły to co konstytuuje tzw. „religię pierwotną”. „Filozofia ezoteryczna — zdaniem Bławatskiej — jedna wszystkie religie, obnaża je z ich ludzkich, zewnętrznych szat, i wykazuje, że rdzeń każdej z nich jest identyczny z rdzeniem każdej innej wielkiej religii”. W takim to towarzystwie znalazł się Janusz Korczak i takie idee sączył w łoży.

Nie wyniósł on z domu rodzinnego żadnych tradycji wyznaniowych i miał do religii stosunek raczej praktyczny aniżeli nacechowany jakimś osobistym doznaniem. Traktował ją jako pewien element rozwoju psychologicznego człowieka, toteż jak wspomina Maria Czapska późną jesienią 1941 roku mówił: „Dzieci muszą się modlić, one dziś tego potrzebują, a ja, odcięty od pnia wyznania możeszowego, nie mogę przewodniczyć ich nabożeństwom [...] Mam cztery Ewangelie, znalazłem też przypadkiem na stosie przeróżnej

makulatury Listy Apostolskie – panią proszę o litanie do Matki Boskiej, chce bowiem ułożyć dla naszego użytku jakąś błagalną inwokację – dzieci muszą się modlić...” Choć sam bez wiary i tradycji to jednak uważał, że jest to ważne gdyż może pomóc jego wychowankom przeżyć trudne chwile. Religia była dla niego uzasadniona potrzebą ludzi w każdym wieku i każdej sytuacji.

Wspomnieliśmy o tym iż stosunek Korczaka do religii wynikał raczej z pobudek praktycznych. Tak..., raczej lecz nie wyłącznie gdyż bez wątplenia miał on w sobie również coś z mistycyzmu. Arnon podkreślał, że „jego stosunek do świata duchowego wynikał z zafascynowania samą istotą życia i człowieka. [...] Wyczuwałem u niego utożsamianie się z każdym istnieniem. W takim utożsamianiu się, trudnym do ujęcia i zrozumienia, wyrażał się także jego stosunek do religii”. Był on jednak przeciwnikiem jakiegokolwiek systemu religijnego o charakterze instytucjonalnym. W tych sprawach zdecydowanie nie uznawał hierarchii ani dogmatyki obowiązującej w religiach. Poza tymi strukturami szukał on więc elementów mistyki.

Maria Czapska wskazywała: „Korczak był bezwyznaniowcem, dzieci wychowywał w duchu asymilatorskim, opierając się na bardzo wzniosłym ale mglistym ideale najwyższej sprawiedliwości. Dzieci, które się do tego nadawały, prowadził po tajemniczych stopniach uświadomień i przezwyciężeń na szczyt symbolicznej wieży i pasował je na rycerzy «Zielonego Sztandaru». Owe wtajemniczenia odbywały się drogą rozmów indywidualnych. Plakaty przytwierdzone do tablicy w hallu zakładowym przedstawiały szczeble symbolicznej wieży, uzupełnione hasłami i wskazaniem. Widziałam dzieci zapatrzony w ten zagadkowy wykres i głęboko zamyślone. Rozumiał – kto chciał, kto mógł. Było w tym coś z wtajemniczenia wolnomularstwa, coś z katolickiej spowiedzi: budzenie i kształcenie sumienia”. Wtajemniczenia, stopnie i ten „Zielony Sztandar”. No właśnie..., a cóż to za sztandar? Czytelnicy „Króla Maciusia Pierwszego” z pewnością bez trudu skojarzą ten symbol. To sztandar pod którym miały zjednoczyć się wszystkie dzieci świata. To sztandar symbolizujący braterstwo bez granic. Książka skierowana była do dzieci i mówiła o powszechnym braterstwie tychże dzieci. Lecz jeśli dziecko to w myśli Korczaka po prostu „mały człowiek” to czyż nie chodzi tu raczej o symboliczny sztandar jednoczący ludzi. To sztandar świata wyidealizowanego, tego świata o którym mówił wychowankom opuszczającym Dom Sierot: „dajemy wam jedno: Tęsknotę za lepszym życiem, którego nie ma, ale kiedyś będzie, za życiem Prawdy i Sprawiedliwości”.

Mówiąc o myśli Janusza Korczaka należy podkreślić trzy zasadnicze elementy, wszystkie związane z będącym w centrum jego zainteresowań dzieckiem. Pierwszy z nich to ogromne, bezgraniczne umiłowanie dziecka. Drugi to wiara w jego możliwości. I wreszcie trzeci, jakże ważny a równocześnie jakże niedoceniany przez współczesnych mu – szacunek dla

godności dziecka-człowieka. Ela Frydman pisała, że „najwyższą zaletą myślenia Korczaka jest dynamiczna postawa wobec wszelkich przejawów życia dziecka. Postawa pełna czujności, wrażliwego zrozumienia najbardziej ukrytych potrzeb każdego wychowanka. Szczera, głęboka chęć poznania jego świata doznań wewnętrznych, troska o to, aby godność każdego malucha została uszanowana”. Afirmując godność dziecka sprawił, że w przypadku jego postawy stosowane od wieków pojęcie „humanizm” otrzymało nową jakość i wreszcie nabrało pełni.

Na zakończenie chciałbym zwrócić uwagę na odezwę mądrego monarchy Króla Maciusia I, który znajdując się na bezludnej wyspie tak pisał: „Mili bracia i siostry, białe dzieci. Teraz najlepiej możecie pokazać, że jesteście dobre. Jeżeli kto chce mieć prawa, musi przekonać wszystkich, że ma rozum i dobre serce. Nieszczęśliwe dzieci czarne nie mają pomocy, więc pokażcie, że chcecie im pomóc. Macie ładne sukienki, jecie smaczne rzeczy, bawicie się i chodzicie do szkoły, podlewacie kwiaty, macie chleb z miodem. A czarne dzieci są chore i umierają z głodu. Mówię wam prawdę. Byłem w różnych krajach, na różnych wojnach. Widziałem wiele nieszczęść. Ale wszystko to nic w porównaniu z obozem czarnych dzieci. One są najnieszczęśliwsze, bo nie tylko małe i słabe, ale w dodatku dzikie. Więc trudniej im coś wymyślić, żeby się ratować. Spieszcie z pomocą.” Oczywiście można tu doszukiwać się rozmaitych braków w zakresie pojawiających się ostatnio nieustannie nawoływań do poprawności politycznej. Być może dziś w pisanych do dzieci książkach nie znalazły by się już takie określenia jak chociażby „dzicy murzyni”. Nie to jest jednak ważne. Główna myśl zawarta w tej odezwie stanowi niejako testament Janusza Korczaka. To wołanie o prawa wszystkich dzieci. To wołanie o prawa tych, którym „trudniej coś wymyślić, żeby się ratować”. Odezwa Króla Maciusia I aczkolwiek sformułowana na kartach książki dla dzieci jest tak naprawdę wołaniem skierowanym do wszystkich. Jest próbą wskazania, że **„jeżeli kto chce mieć prawa, musi przekonać wszystkich, że ma rozum i dobre serce”**.

Wrocław, 1-3 maja 2000 r.

Gdybym powiedział, że ani jednego wiersza w życiu nie napisałem, jeśli nie chciałem, byłaby to prawda. Ale byłoby prawdą, gdybym powiedział, że wszystko pisałem tylko pod przymusem.

Byłem dzieckiem, które „godzinami może bawić się samo”, dzieckiem, o którym „nie wie się, że dziecko jest w domu”.

Klocki (cegiełki) otrzymałem mając lat sześć; przestałem się nimi bawić mając lat szesnaście.

- Jak ci nie wstyd? Taki stary chłop. Wziąłbyś się do czego. Czytaj. Klocki – też!

Mając piętnaście lat wpadłem w szaleństwo, furie czytania. Świat mi znikł sprzed oczu, tylko książka istniała...

Mówiłem z ludźmi wiele: z rówieśnikami i wiele starszymi, dorosłymi. Miałem w Ogrodzie Saskim wiekowych partnerów. „Podziwiano” mnie. Filozof.

Rozmawiałem tylko sam ze sobą.

Bo mówić i rozmawiać nie to samo... Zmiana ubrania i rozbieranie się – to dwie różne czynności.

Rozbieram się, gdy jestem sam, i rozmawiam, gdy jestem sam.

Przed kwadransem zakończyłem swój monolog w obecności Heńka Azrylewicza. I po raz pierwszy bodaj w życiu powiedziałem sobie stanowczo:

- Mam umysł badawczy, nie wynalazczy. Badać, by wiedzieć? Nie. Badać, by znaleźć, dotrzeć do dna? I to nie. Chyba badać, by stawiać coraz dalsze i dalsze pytania. Pytania stawiam ludziom (niemowlętom, starcom), faktom, zdarzeniom, losom. Nie ponosi mnie ambicja odpowiedzi, chcę przejść do innych pytań – niekoniecznie o tym samym.

Mówiła matka:

- Ten chłopiec nie ma ambicji. Jemu wszystko jedno, co je, jak się ubierze, czy bawi się z dzieckiem swojej sfery, czy ze strużkami. Nie wstydzi się bawić z małymi.

Pytałem się swoich cegiełek, dzieci, dorosłych, czym oni są.

Zabawek nie psułem, nie obchodziło mnie, dlaczego lalka leżąc ma zamknięte oczy. Nie mechanizm, ale istota rzeczy – rzecz sama w sobie.

Piszac pamiętnik czy życiorys obowiązany jestem mówić, nie rozmawiać.

Henryk Goldszmit, Pamiętnik